



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—
 Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
 Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Treść.—Przygody młodego podróżnika w Tatrach, M. J. Zaleskiej (ciąg dalszy) (drzeworyt). — Nauki Dziadunia, (wiersz) (fototyp).— Ziarnka moralności (fototyp).— Tysiąc lat temu, powiastka, przez Paulinę Kraków (dokończenie).— Górny Szląsk, przez Jaskółkę (dokończenie).— Kalendarzyk A. z Ch. Borkowskiej, (ciąg dalszy).— Zagadki i rozwiązania.— Odpowiedzi.— W dodatku Historia Biblijna, Z. Zajączkowskiej (ciąg dalszy).



Wózek góralski.

PRZYGODY MŁODEGO PODRÓŻNIKA W TATRACH.

z dziennika Kazia przepisała

M. J. Zaleska.

(*Ciąg dalszy*).

— A może wstąpimy do Krakowa? zapytał góral.

Zaczęliśmy się śmiać, sądząc, że żartuje, ale on na seryo powtarzał:

— Oni jeszcze nie byli w Kościeliskiej dolinie, to i Krakowa naszego nie widzieli.

Ojciec nam wytłumaczył, że ten Kraków, także nie wiadomo dla czego tak nazwany, jest to poprostu łożysko wyschłego potoku i nie w nim osobliwego niema. My jednak mieliśmy wielką ochotę tam pójść, więc rodzice zostali na polance z kilku starszemi osobami, a my z Jadwisią i innemi panienkami poszliśmy za góralem. Dzieciom niepozwolono iść za nami, chociaż Ewelka powtarzała żałośnie, że nie jej się przecież nie stanie, kiedy pan Kazimierz tam będzie. Wejście do owego Krakowa zapuszcza się w głąb skały, w wąską szczelinę, zarzuconą ogromnemi kamieniami; mnóstwo tam zakrętów, kryjówek, niektóre ciemne, jak pieczary; woda wszędzie się sączy, wszędzie są ślady, że tędy spływał z góry potok, a i teraz podobno czasem płynie, jak wody przybędzie. Mówią, że tą szczeliną, która się stromo pnie do góry, można wejść aż na szczyt Czerwonego Wierchu, ale musi to być okropnie niewygodna droga. Góral nasz opowiadał, że tu dawniej ukrywali się zbójcy ze swoim hersztem Janosikiem, a trzeba wiedzieć, że górale opowiadają mnóstwo historyj o zbójcach, podobno po części prawdziwych. Teraz już dzięki Bogu od dawna o nich nie słychać. Jadwisia skorzystała z tej wycieczki do Krakowa, bo znalazła u samego wejścia całą kępkę ślicznych i osobliwych fiołków złocisto-żółtych. Chciałem ją przekonać, że to już nie fiołki, kiedy nie fiołkowe, ale się ze mnie śmiała, mówiąc, że rodzaj kwiatu wcale nie od barwy zależy i poznaje się z innych cech niezmiennych. Nie miała

jednak czasu mi tego wytłumaczyć dokładnie, bo musieliśmy śpieszyć do reszty towarzystwa. Od skały Pisanéj dolina jeszcze dość daleko się ciągnie. W jednym miejscu, przy drodze, ujrzelśmy wielki głaz okrągły, podobny do młynskiego kamienia, a obok leżał stos suchych gałęzi. Dalej nieco, wśród świerkowych drzew, stoi piękny krzyż, zatknięty w drugi takż sam kamień młynski; na krzyżu wypisany wielkimi literami napis: *Nic nad Boga*. Górale opowiadają, że kiedyś dawno, bardzo dawno, młynarz jakiś bezbożny chciał zwozić te kamienie z wysokiej góry w niedzielę rano, w czasie nabożeństwa. Nie dokazał jednak tej zuchwałéj sztuki, na tém miejscu właśnie wóz się przewrócił, a kamienie, upadając, zabiły niebaczego młynarza. Tu go pochowano, a na jego grobie każdy przechodzący góral rzuca suchą gałązkę, ztąd co rok powstaje nowy stos, który w jesieni zapalają, odmawiając pacierze za duszę nieboszczyka. Poeta Wincenty Pol wystawił tu krzyż drewniany z owym napisem, gdy jednak krzyż ten spróchniał i upadł, Walery Elias, malarz z Krakowa, na jego miejsce, postawił drugi, zupełnie podobny i ten stoi dotąd. Nakoniec dolina Kościeliska zamyka się dokoła ogromnemi górami, z tych najwyższa, po samym środku, nazywa się Bystrą; można się ztąd dostać aż na jej wierzchołek, a po drodze, na znacznej już wysokości, obaczyć piękną łąkę, czyli polanę Pyszną; niektórzy od téj łąki i górę Pyszną nazywają. My jednak nie mieliśmy już czasu na tę wyprawę, odpoczęliśmy więc na polanie Ornak, u stóp góry tegoż samego nazwiska i zabraliśmy się do odwrotu, bo już na prawdę zanosilo się na deszcz. Góral nam opowiadał, że zimą z téj góry Ornak straszne czasem spadają śnieżnice, czyli lawiny. Dwadzieścia lat temu ogromna masa śniegu, staczając się gwałtownie w dolinę, zabiła kilku ludzi, a las rosnący na pochyłości Ornak tak zwała, jak gdyby kosą kto drzewa popodcinał tuż przy ziemi. O tych straszliwych lawinach czytałem nieraz opisy, jakie szkody i klęski wyrządzają w Alpach; w Tatrach rzadziej się wydarzają i podobno tylko w tém jednym miejscu, w dolinie Kościeliskiej.

Powracając tą samą drogą rozmawialiśmy

wesoło; jedna z panienek ciekawa była, dla czego ta dolina Kościeliską się nazywa, druga jej chciała tłumaczyć, że to od kości znajdujących tu w wielkiej ilości, niby to pozostałych z jakiejś ogromnej bitwy, stoczonej tu z Tatarami; ale Jadwisia, która zawsze o wszystkim ze swoich książek się dowie, tylko głową na to pokręciła. Ona powiada, że to podanie o kościach jest sobie bajeczką, bo tu nigdy Tatarowie nie wojowali; nazwa ta prędzej pochodzić może od kościoła, który tu stał niegdyś, kiedy jeszcze górnicy pracowali w dolinie. Wioska leżąca tuż obok, nazywa się także Kościeliskiem, a w samej dolinie górale jedno miejsce nazywają, Stare Kościeliska, drugie Małe Kościeliska; wszystko to zapewne pochodzi od jakiejś osady głównej z kościołem. Tak rozmawiając, doszliśmy szczęśliwie, bez deszczu, aż do najpierwszej bramy, gdzie wózki na nas czekały. Gdyśmy wsiadali, woźnica się odezwał:

— A może zechcą wziąć sobie *jarcu* kamiennego ze skały?

— Jakiego *jarcu*? zapytałem ciekawie; ojciec mi wytłumaczył, że oni tak jęczmień nazywają. Tęm bardziej mnie to zadziwiło, więc pobiegłem za góralem po ten kamienny jęczmień i w samej rzeczy pokazał mi dziwną skałę. Cała jest złożona z drobnych, podługowatych ziarenek, spojonych z sobą szczelnie w jedną kamienną masę. Zabrałem z sobą parę odłamków tej skały. Jadwisia wiozła znów kilka kamyczków czerwonych i pachnących prześlicznie, jak fiołki. Ale ona od razu zrozumiała, że to nie kamień pachnie, tylko drobnienki czerwony porost, który na nim rośnie. Uzbierała także mnóstwo kwiatów i mieliśmy je razem w domu rozpoznawać i układać w bibułę. Obiecał mi też ojciec w domu wytłumaczyć, co to znaczy ten kamienny *jarzec*. Ledwośmy przed naszym mieszkaniem wysiedli, kiedy ogromny deszcz lunął jak z wiadra. Ja nawet żałowałem, że nas nie spotkał wcześniej i żeśmy nie zinokli trochę dla rozmaitości, bo na wycieczce trzeba wszystkiego doświadczyć. Góral śmiał się ze mnie, gdy to przy nim powiedział, upewnił mnie, że ta przyjemność nikogo w Tatrach nie ominie i ja też z pewnością doświadczę jej nieraz.

VII.

Niestety! deszcz od trzech dni pada nieustannie, mgła zupełnie zasłoniła góry, *dymy* snują się ogromnemi kłębami, a górale powtarzają ciągle na utrapienie nasze, że na długą *psotę* się zanosi. Co tu robić; wyjść trudno w taką pogodę, zresztą niema po co, bo się nic nie zobaczy, więc zabraliśmy się z Jadwisią do przekładania roślin, które siostrzyczka moja bardzo porządnie utrzymuje, żeby się dobrze zasuszyły. Jabym wołał zbierać kamyczki, bo z nimi daleko mniejszy kłopot; na początek mam kilka kawałków tej osobliwej skały, co to wygląda, jak skamieniały jęczmień. Wiem już teraz, co znaczą te ziarenka; to są muszelki, skorupki, w których żyły kiedyś, niezmiernie dawno, drobne żyjątka. One zginęły, a pozostałe muszelki gromadziły się powoli i powstała ztąd cała skała. W mineralogii skała tego rodzaju nazywa się *numulitową* od łacińskiego wyrazu *nummulus*, moneta, bo starożytni porównywali te ziarenka spłaszczone do małych pieniędzy. Dziwiłem się, że takie mnóstwo tych drobnych zwierzątek zebrało się w tém jednym miejscu, ale ojciec zaczął opowiadać daleko dziwniejsze rzeczy, jak to w wielu okolicach na ziemi, tym samym sposobem ze szczątków drobnych żyjących istot powstały całe ogromne góry, i takie obszary gruntu, na których dziś wielkie miasta się wznoszą. Jedna z największych piramid egipskich całkowicie jest zbudowana z kamienia numulitowego. Inne znów skały składają się z takich drobnieneczek skorupek zwierzęcych, że ich niepodobna dojrzeć bez mikroskopu. A wszystko to żyło niegdyś w wodzie, bo trzeba wiedzieć, że morze przed stworzeniem człowieka zajmowało na ziemi daleko więcej miejsca niż teraz i zalewało przestrzenie dziś zupełnie suche. Zwolna dopiero usuwało się coraz dalej, a z głębi wód wynurzały się różne pokłady gruntu, poosadzane przedtém na dnach morskich.

Wszystkie te wiadomości są bardzo ciekawe, ale przekonałem się, że i botanika, nauka o roślinach, jest zajmująca niezmiernie. U nas w szkołach uczyli o tém coś trochę. Ale to zupełnie co innego uczyć się z książki i z rysunków, na które się nie bardzo zwraca uwagi, byle tylko wydać lekcję, a co innego

patrzeć na rośliny prawdziwe, na prawdziwe kwiaty, a jeszcze takie osobliwe i piękne. Z wielką też przyjemnością pomagałem Jadwisi przekładać w świeżą bibułę rośliny, w Kościeliskiej dolinie zebrane. Ona z wielką cierpliwością codziennie tę bibułę zmienia, a przytém starannie każdy kwiatek i każdy listek wyrównywa, żeby się nigdzie nie zagął i cały był widoczny po zasuszeniu. Najtrudniej sobie dać rady z takimi roślinami, które mają liście i kwiaty grube, mięsiste. Jadwisia układa wszystkie arkusze bibuły z roślinami w jeden stos i z wierzchu przyciska je wielką, gładką płytą kamienną. Dopiero, jak doskonale uschną, ułoży je na białym papierze, schowa do teki i będzie miała wspaniały zielnik. Dziwna rzecz, że tu na górach takie kwiaty rosną, jakich wcale niema w dolinach; dziwniejszém jest jeszcze, że także same zupełnie gatunki drzew i ziół, jakie tu widzimy na wyżynach, rosną także w północnych krajach, w okolicach biegunowych. Tak jak na górach, stosownie do wzniesienia, różne strefy roślinne układają się jedne nad drugimi, jakby po stopniach; najprzód ustają liściaste drzewa, a zaczynają się iglaste bory, potem karłowate krzewy, a w końcu mchy tylko i porosty, tak samo w miarę zbliżania się do bieguna, następują po sobie też same zupełnie strefy; po drzewach liściastych idą świerki, później kosodrzewina, wierzba czółgająca się po ziemi, a nareszcie pozostają już tylko szare mchy i porosty. Pewien uczony, nazwikiem Humboldt, zrobił takie porównanie, że każda połowa kuli ziemskiej, od równika, do bieguna, jest jakby olbrzymią górą, bo postępując wzdłuż południka, napotyka się takie zupełnie zmiany w roślinności, jak kiedy się od podnóża góry wstępuje na jej wierzchołek. Ja znów, jak pójde na Czerwony Wierch, będę sobie wyobrażał, że zapuszczam się w północne kraje i zbliżam do koła biegunowego. Tymczasem dziś niema co myśleć o wycieczkach, trzeba więc dla skrócenia czasu przypatrywać się dalej roślinom górskim.

Ze wszystkich, któreśmy dotąd zebrali, najwięcej mi się podobała skalnica; po łacinie nazywa się *Saxifraga* od *saxum*, skała i *frangere*, łamać. Bo też doprawdy, przesłiczna ta

roślina tak dziwnie w nagą skałę zapuszcza korzenie, jak gdyby ją mogła przełamać.

(d. c. n.)

NAUKI DZIADUNIA.

Jak to miło być dziaduniem,

Własną chatę mieć ubogą,

A za żytem, tuż za drogą,

Wnuki z matką i z ojczuniem.

Śnieg, czy deszcz, czy słońce świeci,

Dziadus patrzy ponad żyto;

Burek szczeknie, macha kitą—

To do dziadka biegną dzieci.

W zimie siedzą przy kominie,

Dziadus dawne wspomni czasy,

Wojnę, mrozy, głód, niewczasy:

Ej, kto z Bogiem, ten nie zginie!

Gdy znów błysną słońca żary

I zielenń okryje rolę,

Dzieci z dziadkiem idą w pole,

A przed niemi Burek stary.

Płynie chmurka, dzieciół puka,

Drzewko, kwiatek, pszczołka, trawki,

Nic nie żyje dla zabawki:

Pożytecznym być—w tém sztuka!

Aż i zasłi do kompasu,

Który uczy, że czas bieży:

Ej, do książki iść należy,

Wróćmy dziatwo, nie trać czasu!

M—a.

Ziarnka moralności.

Władys siedział pewnego dnia w pokoju matki, bawiąc się z pięknym psem, którego niezmiernie lubił, gdy wszedł stary ogrodnik Walenty.

— Proszę pani, mówił do matki Władysia, okrutny mam kłopot z tym Jakóbkiem, co to go pani kazała wziąć do dworu i uczyć ogrodnictwa. Chłopak leniwy, krnąbrny, łakomy, a do tego jeszcze i kłamca. Dziś zastawiłem go do pielienia grządek obok brzoskwiowego szpaleru, sam odszedłem na chwilę; powracam, a ten niepoń wyraźnie coś chowa po kieszeniach i spogląda na mnie z podełbą; robota nietknięta. Jak nie huknę na niego z góry: a ja ci tu łotrze wszystkie kości połamię, jeżeliś znów co zbroił! a ten w lament: bo to

pan Walenty zawsze coś do mnie upatrzą, ja na krok od grządek się nie ruszyłem, a co-bym miał zbroić. Ale mnie, jakby coś tknęło; chwyciłem go za obie ręce i do kieszeni, a tam aż cztery ogromne brzoskwinie, z tych, które chowałem dla państwa do herbaty. A to zgroza, proszę pani; to nic dobrego z głodu na wsi ginęło, a teraz zachciewa mu się łakoci; a pracować ani rusz. Ja bo od razu mówiłem, że z niego nic nie będzie, że to tylko napędzić i kwita.

— Poczekajcie, mój Walenty, rzekła matka Władysia, nie wypędźmy jeszcze Jakóbka; ja mam nadzieję, że on się z czasem poprawi, tylko nie trzeba się z nim zbyt srogo obcho-dzić, już nieraz prosiłam was o to. A teraz idźcie, mój Walenty i przyslijcie mi tu tego chłopaka, ja sama z nim chcę pomówić.

— Czy on wart tego, żeby się pani sama trudziła, mruczał stary sługa, ruszając ramio-nami; ale wyszedł natychmiast spełnić roz-kaz pani.

— Moja mamó, odezwał się wówczas Wła-dyś, który wysłuchał tej rozmowy; ja nierozumiem doprawdy, dla czego mama zawsze broni tego brzydkiego Jakóbka, kiedy Wa-lenty już tyle razy skarżył się na niego i opo-wiadał, jaki on jest leniwy, nieposłuszny, jak często kłanie i gorsze jeszcze rzeczy robi. Ja jestem daleko młodszy od Jakóbka, a cóżby mama powiedziała, żebym był podobny do niego? Toż mama strofuje mię nieraz surowo za łżejsze daleko przewinienia, a jemu to ma być wszystko wolno.

— Mylisz się, mój synu; jemu także nie wszystko wolno, ale nie mogę od niego wyma-gać tyle, co od ciebie, zaraz ci to wytłómaczę.

Matka chciała mówić dalej, lecz w tej chwili drzwi się uchyliły i przy progu stanął Jakó-bek z głową spuszczoną, mnąc czapkę w rękę i niespokojnie przestępując z jednej nogi na drugą.

— Jakóbkę, powiedziała matka Władysia, przybliż się moje dziecko i odpowiadaj śmia-ło. Wszak wczoraj dałam ci sama różnych owoców, wiedziałeś, że i dziś dostaniesz, je-żeli się dobrze będziesz sprawował, pocóż więc pokryjomu brałeś brzoskwinie?

— Bo, proszę pani, szeptał Jakóbek, obra-cając wciąż czapkę na wszystkie strony, ja

myślałem, że pan Walenty nie zobaczą i łajac nie będą.

— A czy zapomniałeś o tém, że Bóg, któ-ry wszystko widzi, nieposłuszeństwo twoje zobaczy? Lękasz się gniewu Walentego, ale więcej jeszcze powinienes się lękać obrazić Boga. Cóż tak patrzysz, jak gdybyś nie roz-umiał; czyż ci nikt o tém nie mówił, że Bóg widzi wszystkie czynności twoje i nawet naj-skrystsze myśli przenika?

— A nikt, proszę pani, rzekł chłopak.

— A gdy brzoskwinie zrywałeś i ukry-wałeś je w kieszeni, czy ci się nie zdawało, że głos jakiś wewnętrzny ostrzegał cię, jakby ktoś szeptał ci do ucha: źle robisz, nie rób tego.

Jakóbek pomyślał trochę.

— A niby to tak, powiedział, ale to pewnie ze strachu, żeby pan Walenty nie zobaczyli.

Tu matka Władysia zaczęła tłómaczyć chło-pakowi, co to jest sumienie, ów głos dany nam od Boga, żebyśmy umieli rozróżnić złe od dobrego; mówiła mu także o obecności Boga, o dobroci jego, ale my tego powtarzać nie będziemy, bo wszystkie dzieci, które czy-tają Wieczory Rodzinne, pewnie nieraz o tém słyszały od swoich rodziców i nauczycieli. Gdy odszedł Jakóbek do swojej roboty, mat-ka zapytała Władysia:

— Czy rozumiesz teraz, dla czego od tego biednego chłopca nie mogę wymagać tyle, co od ciebie? On był małym dzieckiem, gdy go rodzice odumarli i odtąd ciągle tułał się u ob-cych ludzi, także ubogich; ci go pędzili do ciężkiej pracy, ale nie mieli czasu się nim zaj-mować, ani rozmawiać z nim o Bogu, o cno-cie i obowiązkach człowieka; może zresztą i sami nie bardzo dobrze to wszystko rozumieli. Zupełnie inaczej było z tobą; zaledwie mówić i pojmwować zaczynałeś, a już rodzice wszel-kiemi sposobami nakłaniali cię do dobrego, czuwali nad każdym twoim postępkiem, kie-rowali każdym krokiem. Dla Jakóbka po-winniśmy mieć litość i pobłażanie; od niego i Pan Bóg mniej wymaga, bo powiedziano jest w Piśmie Ś-tém: *Od każdego, któremu więcej dano, więcej żądać będą.* Widzisz więc, Władysiu, że im więcej kto dobrodziejstw otrzymał od Boga, tém większe zaciągnął obo-wiązki. Pan Bóg niczego od nas nie potrze-buje, ale Chrystus powiedział: *co uczynicie*



Nauki Dziadunia.

jednemu z braci moich najmniejszych, mnie uczynicie. Otóż teraz, kiedy ten biedny Jakóbek dostał się do nas, powinniśmy przede wszystkim starać się go oświecać, bo nie możemy inaczej spłacić długu, zaciągniętego u Boga, tylko czyniąc dobrze tym bliźnim naszym, którzy mniej od nas otrzymali.

Władysłuchał z uwagą, potem mileżał przez chwilę, namysławiając się nad tem, co usłyszał, wreszcie odezwał się w te słowa:

— Moja mamó ja wiem, że Jakóbek nie umie czytać. Jaby go mógł nauczyć, gdyby mama pozwoliła, a wtedy dawałbym mu do czytania różne książeczki, tłumaczyłbym



Władys.

mu nauczki, które mama mnie tłumaczyła, ażeby łatwiej zrozumiał, jak to źle być leniwym, nieposłusznym i kłamcą. Wszak to mój obowiązek, nieprawdaż mamó, kiedy on taki biedny, że nie mógł się nauczyć tyle co ja, chociaż jest starszy odemnie?

— Zapewne, odrzekła matka; dziś jeszcze nie wiele umiesz i nie wiele dobrego uczynić możesz, ale jak nawykniesz za młodu, w mia-

rę możności, stawać się pożytecznym biedniejszym od siebie bliżnim, i później o tém pamiętać będziesz. Od jutra każę, żeby Jakóbek tu codziennie na godzinę przychodził, jak ty lekcye swoje pokończysz i będziesz go uczył przy mnie, ja ci w tém chętnie dopomogę.

Tak się też stało. Jakóbek, leniwy do roboty w ogrodzie, do czytania przeciwnie wielką miał ochotę i śpieszył do lekcyi, jak do

najmilszej zabawy. Uczył się przytém katechizmu, Pisma S-go i z największą rozkoszą słuchał, gdy Władysław czytywał głośno różne moralne powiastki. Stary Walenty z początku na to głową kręcił, ale wkrótce sam przyznał, że się chłopiec znacznie poprawił, od kiedy zaczął chodzić na naukę do panicza. Z czasem Jakóbek poprawił się zupełnie, a Władysław mógł sobie powiedzieć z niewymowną pociechą, że i on w części się do tego przyczynił.

TYSIĄC LAT TEMU.

POWIASTKA

przez **Paulinę Kraków.**

(*Dokończenie*).

Poraj stał jeszcze; rozwiane włosy spadały mu na czoło i zamknięte oczy, czekał. Nakoniec rzekł powoli i smutnie:

— Uderz, Sobiesławie! masz prawo. Przed tobą nigdy bym głowy ani piersi mojej nie bronił. A teraz wiem, co to za cios ręka ci moja zadała. Macie mnie, uderzcie wszyscy, bo i co mi po życiu!

Blade chłopię podniosło się także, ujęło w pas stojącego i opuszcło się na jego biodra, widocznie gotowe dzielić los, jakiby go spotkał. I dziwnie zmieniała się ta twarz dziecięcia teraz, kiedy z wyrazem bólu i zmęczenia powiodło w koło błękitnymi oczyma. Chociaż małego wzrostu, niktyby już tej postaci nie nazwał dzieckiem, zwiedłe lice, wysokie w drobne rysy pokreślone czoło i boleśnie ściśnięte usta, tyle malowały cierpienia, że obok tego ślepeca, nie za syna jego, ale raczej za troskliwą opiekunkę wziąć ją było można.

— Tylko jedno! mówił Poraj. Gdy pomsty dokonacie, odstawcie bezpiecznie to dziecko, gdzie pragnąć będzie.

Wśród ciszy, w której słowa ślepego odbijały się jedynie, w umyśle starszych mężów ciężka toczyła się walka; odbywały ją, pieszczona od lat kilku myśl zemsty i odwetu, liłość nad skruszonym i startym w proch wrogiem, i wrodzone uczucie polskiej gościnności; bo od początku istnienia każdego tutejszego mieszkańca, gość był mu świętością, której życiem swoim bronić był gotów. Po

niejakim czasie, Sobiesław podniósł sędziwą głowę i rzekł poważnie:

— Kto mówi o pomście, kiedy gość w moich progach? Nie mścić się człowiekowi, gdzie już z karą przeszli bogowie!

— Pójdźmy podzielić się chlebem, zawołała gospodyni, biorąc pod rękę dziwną jasnowłosą istotę i pomagając jej przejść do ogólnej ławy; tam powoli zebrali się wszyscy, zasiadli bez wyboru i podawali przybyszom najrumieńsze podpłomyki z życzeniem: na zdrowie! Zbigniewa szepnęła Wszebrowi słówko i niezadługo młodzieniec przyniósł czarę pieniącą się słodkim napojem, którym wypłukane przez Halkę rogi nalano po brzegi i raz jeszcze spełniono za zdrowie i szczęśliwy powrót gości do domu.

— A wtedy, rzekł Poraj spokojnie, wtedy stanę wam gdzie i jak zechcecie.

— Już nie do odwetu, odpowiedział równie poważnie Sobiesław. Dopełnili go Bogowie i stoją między nami.

Jak zesłała reszta tego wieczoru, łatwo się już domysłuć; Zbigniewa z dziećmi radaby, jak to mówią, nieba gościom przychylić, otaczali ich też wszystkiem, co było najlepszego, zgadywali myśli, nie badając ciekawie, lękali się bowiem znów przywieść ciężkie wspomnienia, chociaż poważny a dziwny chłopak zwracał mimowolnie całą ich uwagę. Halka posługiwała mu starannie; przyniosła pienieczech pod cierpiącą nogę, przysunęła krobeczkę z leśnymi tarnkami, które sama bardzo lubiła, nakoniec dłużej wytrzymać nie mogąc, spytała:

— Dalekoście ztąd spotkali Poraję?

— Na niemieckich kresach, leżał tam i chorował u dobrego kmiecia.

— Czy i wy chodziliście z nim na wojnę?

— Nie; przynieśli tę wieść do domu ci, z którymi był wyszedł na wyprawę.

Halka ciekawą była dokładniejszej wiadomości, ale rozmowa ta doszła do uszu innych i zwróciła uwagę; zauważył to sam Poraj i rzekł:

— Nie mam dla was nic tajnego; idąc polem i lasem, i między nieznanymi ludźmi, bezpieczniej było chłopięciu; pod waszą strzechą wraca mi córka jedyna.

— Górka! zawołano jednomyślnie.

— Górka, odważna i wytrwała, co na wiadomość o mojej niedoli, pośpieszyła w nieznaną stronę, by ojcu służyć i ratować go.

Zarumieniała się zwiędła twarzyczka.

— Toż nikt prócz mnie nie miał do tego prawa, rzekła z cicha i ze spuszczonei oczyma.

Teraz serdeczniej jeszcze otoczono mnie — mane pacholę, Zbigniewa ścisnęła ręce nowo poznanej, Halka uwiesiła jej się na szyi, ściskając ją gorąco. Wszebór patrzył na nią nieśmiało, Skarbimierz ze smutkiem, Sobiesław zaś powstał i przeszedłszy naprzeciw córki Poraja, rzekł wzruszony:

— Niech cię uścisknę, o narzeczono mego Dobrowoja! i wyciągnął drżące ramiona. Podniosła się i przysunęła Górka, a starzec rozrzwinięty utulił ją w długim objęciu.

Wzruszenie było ogólne; Poraj dłońmi przycisnął ociemniałe oczy i słychać było jak płakał.

— O, czemuż nie chciałeś przyjąć Dobrowoja za syna? spytał rozrzwinięty Skarbimierz.

— Bogom z dzieciństwa Górka była posłubioną, odrzekł Poraj, Dobrowój na to nie dbając, chciał ją unieść w swoje strony i wtedy to — los boju, nie zdrada moja...

Nowy więc jeszcze węzeł powstał między niedawnymi wrogami. Niedoszła synowa, bratowa, stryjenka, zaledwie wydołać mogła serdecznym powitaniem. Późno już w noc było, gdy Zbigniewa, oddawna myśląca o wygodzie gości, zachęciła do spoczynku. Jak się ułożyć i pomieszczać? Wszebór opuścił izbę po krótkim z matką porozumieniu, w jakiś czas potem Zbigniewa poczęła odczepiać szaty i futra, wiszące na ścianie, a złożywszy je na ławie, rzekła:

— Suche na noc przebranie.

W opróżnionem miejscu pokazał się otwór, tak jak u drzwi wchodowych, skórą zakryty, Halka wsłizgnęła się pod nią, a wróciwszy wkrótce, powiedziała matce słów kilka i wyszły obie.

— Tam stoi moje łóżo, rzekł Sobiesław, sprzykrzyło mi się już, bo często na niem spoczywam; tam dziś wytchniecie, mnie tu na ławie uścielę, a młodzi o sobie pomyślą.

Uśmiechnęła się wracająca z synem gospodyni.

— Już pomysleli, rzekła, wskazując boczne wyjście; — my kobiety tam resztę nocy prześpimy; bezpiecznie tam i zaciszno, a ogień napalony dostatnio.

Skarbimierz potrząsnął głową, jakby coś sobie rozważał, a ojciec jego szepnął:

— W świetlicy Dobrowoja!

— Gdzie Górka? spytał Poraj; a gdy córka podeszła żałować, że rozdzielić im się na krótki czas trzeba.

— Idź, idź, spocznij nakoniec, widzisz żem tu pod dobrą i bezpieczną opieką.

Matka z córką uprowadziły swoją towarzyszkę do sąsiedniej izby, ale choć Halka zasnęła po niezwykłych wrażeniach upłynionego wieczoru, choć Górka, przebrawszy się w odzież niewieścią, ułożona troskliwie na futrzanem łożu Zbigniewy, pierwszy raz od kilku miesięcy mogła spokojnie skłonić ztrudzoną głowę, sen uciekał z powiek obydwóch niewiast. Tyle miały do mówienia! Górka raz już odbyła kolej swoją w świątyni i teraz znowu zimę tam przebyć miała, ale potem niewiedomo, co tam mężczyźni uradzą; gdyby jednak ojciec jej mógł być spokojny i bezpieczny, radaby czasem przybyć tu do chaty i pomódz Zbigniewie w pielęgnowaniu starego ojca Dobrowoja, by nie mając dwóch synów, miała dwie córki przy sobie ¹⁾.

GÓRNY SZLĄZK I JEGO MIESZKAŃCY,

przez
J a s k ó ł k ę.

(Dokończenie).

Po świętym Szczepanie zaczyna się po wsiach obchód „z Betleją” czyli szopką.

W wieczór Ś-go Sylwestra, w niektórych okolicach stawiają na oknach szeregiem 12 cebul wydrażonych i napełnionych solą. Mają one wyobrażać 12 miesięcy następnego roku, a gdy w której przez noc sól stopnieje, uważają za przepowiednię deszczu i słoty na miesiąc, który ta cebula oznaczała.

W ostatnim tygodniu karnawałowym wy-

¹⁾ Pani Kraków przygotowuje dla nas szereg powiastek historycznych z rozmaitych epok, które podawać będziemy w porządku chronologicznym.

myślają najrozmaitsze zabawy. Młodzież stroi parobka w słomę i oprowadza go na słomianej linie, niby niedźwiedzia, od domu do domu. Nazywa się to chodzić z niedźwiedziem. Orszak chłopców, dziwnie poprzebieranych, towarzyszy niedźwiedziowi; jeden człek zwany „babioch” przebrany za kobietę, trzyma koszyk na ręku, w który gospodynie składają jaja i słoninę.

Wczwartą niedzielę postu następuje obchód „z gaikiem.” Małe dziewczęta stroją drzewko świerkowe, zwane „gaikiem” w barwne wstążeczki i różne ozdoby i chodzą z niem od domu do domu, opiewając piękność „gaika” lub cnoty gospodarzy... Jedna z tych piosenek tak brzmi:

Do tego domu—wstępujemy,
Szczęścia, zdrowia—winszujemy,
Nasz gaik zielony,
Pięknie przystrojony.
Idziemy, idziemy—po dąbrowym moście,
Dziwują się tam—panowie i goście.

Nasz gaik i t. p.
Przed tym domeczkiem—wyrastają kwiaty,
Mają tam paniczka—z dyamentów szaty.

Nasz gaik i t. p.
Zostanę tu z Bogiem—Już tu nie przyjdziemy,
Aż zaś za roczek—Jeśli dożyjemy.

Nasz gaik i t. p.
Już cię paniczka—Kluczykami stuka,
A już cię ona nam—Podarunku szuka.

Nasz gaik i t. p.
Niech nam nie dają—Jajuszka jednego,
Bobyłmy się zbiły—Wszystkie kwoli niego.

Nasz gaik i t. p.
Niechże nam dają—Jajuszka cztery,
Cobyłmy się wszystkie—Niem podzieliły.

Nasz gaik i t. p.

W Wielką Środę wieczorem odbywa się uroczystość, zwana „paleniem żuru.” Chłopcy śpieszą w pole z zapasami starych mioteł, ponatykanych szczypani smolnemi i obłanych smołą. Te miotły, czyli „skrobaczki” zapalają i biegają z nimi jak z pochodniami po wzgórzach i polach. Całe wsi wylegają w pole, aby się przypatrzeć temu igrzysku. Obchód ten trwa dotychczas na pamiątkę szukania z pochodniami Chrystusa w ogrodzie Gethsemani.

W czasie Wielkiejnocy jedni drugim dają malowane jajka, tak zwane „kraszonki.” Oprócz figur i kwiatów, znajdują się na tych jajkach wiersze i przysłowia, a w każdej wsi jest „rysownicza,” która się trudni tylko malowaniem kraszonek.

W dzień pierwszego Kwietnia zachował się tam z czeskich czasów zwyczaj „posyłania z apretem.” Wtedy wymyślają figlów co niemiara. Dają np. parobkowi ciężki wór, niby to z solą i każą mu nieść o milę lub więcej do jakiej gospodyni. Jakiż śmiech powstaje gdy parobek się przekona, że niósł proste kamienie wapienne!

W dniu 1 Maja ustawiają parobcy na wysokich żerdziach „maj” czyli gaik świerkowy, ustrojony we wstążki. Ten „maj” przez cały miesiąc stoi na podwórzach.

W jesieni, po ukończeniu żniw, czeladź i robotnicy przynoszą gospodarzowi wieniec z kłosów i składają mu życzenia. Przytém odbywają się „żniwne bale,” w których cała wieś bierze udział. Oprócz tanów są i inne jeszcze zabawy. Na uboczu stoi gładki „drag,” na którego szczycie zawieszone są różne nagrody. Każdemu wolno próbować szczęścia, ale że drag wysoki i gładki, wielu zatem daremnie próbuje, i tylko najzręczniejsi zdobywają nagrody wśród oklasków, grzmiących dokoła. Co jest bardzo pocieszne, to wyścigi w workach. Zaszyciwają po szyję w worki kilku parobków, którzy wśród serdecznego śmiechu patrzących, rozpoczynają wyścigi. Większa połowa upada po kilku krokach, a nie mogąc powstać o własnej sile, czeka, aż kto przybędzie na ratunek. Ten „bal żniwny” kończy się puszczeniem rac i ogni sztucznych i odśpiewaniem chóralnem pieśni: „Kto się w opiekę odda Panu swemu.”

Wieczorem, w dzień Ś-go Mikołaja, chodzi od domu do domu „Mikołaj” w ubiorze biskupim i z długą brodą. Gdzie jest tylko dziatwa, póka on różgą do okna, wchodzi do chaty i zaczyna egzaminować dzieci. Grzeczne i dobre dzieci, które pacierz umieją, dostają od Ś-go Mikołaja owoce i zabawki, niegrzeczne zaś i leniwe, dostają różgą.

Podczas wesela obierają zawsze kogoś starszego, który się zna na tańcach i na zabawach i nazywają go „starostą.” On to, zamiast

mieć, jak druzbowie bukiet, czyli „woniaczkę” po prawej stronie kapelusza, ma jako oznakę swojej godności — bukietek mirtowy z zieloną wstążeczką w dziurce od guzika.

Ten starosta umie przeróżne śpiewy i oracye, które inni za nim powtarzają. Oracya do rodziców „panny młodej” tak się kończy zawycają:

Ślawetny panie ojcze

I pani matko!

Czy wam się nie podobamy?

Czy w mowie, czy w słowie?

Myśmy się tego

Nie uczyli w żadnej szkole,

Jeno przy cepach, w stodole;

Gdyż nasza szkoła:

Cepy, stodoła!

Jednym z bardzo dawnych zwyczajów jest obchód młodzieży szkolnej, następujący zwykle po żniwach, a zwany „klepaczem.” Młodzież wyprasza sobie u nauczyciela dzień wolny, czego nigdy nauczyciel im nie odmawia. Któryś z gospodarzy użycza na ten cel dużej izby, gdzie po południu schodzi się dziatwa szkolna w strojach świątecznych i rozpoczyna rozmaite gry, a nawet i tańce. Za stołem zasiada skrzypek, lub cymbalista. Był tam jeden, który przez lat 50 grywał na „klepaczach.”

Za nadejściem zimy, kominek, który przez całe lato zastawiony był parawanem, oświeca izbę płomieniem smolnego łuczywa, gdyż lampy niebardzo są między ludem upowszechnione. Najmłodszy z rodziny zasiada przy kominku, pilnując, aby ogień nie wygasił; ojciec, lub starszy brat odczytuje ustęp z Żywotów Skargi, na ów dzień przypadający. Późem wchodzi gromada chłopaków i dziewcząt z kąpielami i zasiada w koło. Furczą kołowrotki, przygłuszone śmiechami i gwarem. Sypią się dowcipy, zagadki i wesołe opowiadania, to piosenka zabrzmi, to znowu ktoś wystąpi z bajką o czarnoksiężnikach, takich jak Twardowski i t. p.

Szlązacy odznaczają się nadzwyczajną, prawdziwie staropolską gościnnością. Niktby tam nie śmiał odmówić noclegu, nawet zupełnie obcemu człowiekowi. Nawet się nie pytają o nazwisko przechodnia, którego w swoje przyjmują progi. Górale z Karpat, t. j. druciarze,

handlarze z prowincyj austriackich, którzy ze swemi wyrobami przez cały rok chodzą po Górnym Szlázku, mają tam stałe swoje gościnne gospody. Procesye, idące do Częstochowy, także się tam zatrzymują. Gospodarze uważają gości jakby za członków rodziny i zawsze radzi witają. Przy każdym pieczeniu chleba, gospodyni piecze kilka placzków i rozsyła krewnym; gdy zabije wołu lub wieprza, także udziela dalszej rodzinie najlepszych części. Utrzymując w ten sposób pamięć pochodzenia z jednego gniazda, przypominają sobie wzajem, że kto je wspólny chleb, winien strzedz braterskiej zgody i jedności.

Piękne obrzędy zachowywane są przy pogrzebach. Na końcu wsi, przy krzyżu, zatrzymuje się pochód żałobny; wszyscy na kolanach modlą się za zmarłego, który nazawsze opuszcza wioskę. Późem występuje jeden ze starszych gospodarzy i przemawia do zgromadzonych, przepraszając w imieniu zmarłego za wszystko, czem on kogokolwiek z nich mógł w życiu obrazić.

Urzednicy niemieccy patrzą niechętnie na to ścisłe przechowywanie dawnych obyczajów, ale usiłowania ich w tej mierze wręcz przeciwny wywołują skutek. Lud, widząc w tem zamach na to co ukochał, broni wytrwale nawet takich przyzwyczajęń, z którymi w zwykłym stanie rzeczy rozstałby się łatwo i bez żalu.

Razem z dawnymi zwyczajami przechowały się tam i dawne stroje narodowe. Najstarsze noszą mieszkancy północnej części Górnego Szlázka, koło Opola i w południowo-wschodniej stronie.

Pod Lewinem, u tak zwanych Krysiaków, młodzież i starsi mężczyźni noszą się jednakowo, w lecie jasny kapelusz, w zimie czapka barania; kamizelki krótkie, ozdobione gęsto guzikami; surdut długi, aż do stóp sięgający i buty wysokie. Kobiety, zwane pod Lewinem Kryskami, noszą na głowie pstrą chustkę, pod nią czepek „z czubkiem;” na szyi sznurki paciorków z medalikiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Na sobie mają modry „Kabocik” z wylotami. Rękawy u koszul na ramionach haftowane w kwiatki. Suknia ciężka, krótka, fałdzista; fartuszek pstry, pończochy modre wełniane, naszyte na boku czer

wonemi kwiatami. W zimie noszą czepek z rąbkiem futrzanym; płaszcz długi, ciemnoniebieski z krótką pelerynką; rękawiczki o dwóch palcach, czarne aksamitne, także haftowane w kwiaty.

Na Zaodrzu, pod Prudnikiem, mężczyźni noszą surduty krótkie, a płaszcze długie, w zimie białe kozuchy i baranie czapki; kobiety czepki z koronek, tak zwanych tam „tkaniczek,” suknie długie i chustki wełniane zamiast płaszców.

W okolicach Raciborza strój jest podobny do czeskiego; w okolicach Pszczyny i Mysłowic ubierają się podobnie jak mieszkańcy Galicyi i Królestwa Polskiego. W okolicach gór Ś-tėj Anny stroje kobiet są bardzo bogate; czepiec ubierają koronkami (tkanicami), których aż 40 łokci do jednego wychodzi i do tego jeszcze wstążkami; suknie świąteczne i fartuchy są u nich zazwyczaj jedwabne. Tak jak co kraj to obyczaj, tak na Górnio-Szlązku, co okolica, to ubiór.

Jakkolwiek lud tamtejszy broni się jak może od zniemczenia, wszakże niemieckiego języka się uczy; a na zapytanie, dla czego to robi, odpowiada: „Żeby się nie dać Niemcom zaprzedać,” gdyż w sądach język niemiecki panuje.

Przywiązanie ludu szlązkiego do rzeczy oczyszczonych wzmaga się coraz więcej; wie on bowiem, że to co kocha, miłości jego jest warte i że to poczucie narodowe jest prawem przyrodzonem, przez Boga w sercu ludzkim wyrytym.

I jak nie kochać takiego ludu, jak nie wyciągnąć doń braterskiej dłoni, i jak nie śpieszyć mu z pomocą — nieprawdaż mili czytelnicy?

KALENDARZYK.

(*Ciąg dalszy*).

— 15 Lutego 1540 r., poseł papiezki, Hieronim Rosarius, wręczył, w obec rodziców, w Katedrze Krakowskiej, młodemu Zygmuntowi Augustowi czerwony kapelusz, podbity gronostajami, z wyobrażeniem na wierzchu Ducha sw. i miecz poświęcony¹⁾, zalecając

¹⁾ Kapelusze takie i miecze, papież rozdawał książętom i królom, którzy największe ponieśli w obronie wiary zasługi. Według opisu istniejącego w Rzymie, największą ich liczbę przesłało królom polskim.

mu w długiej przemowie, aby Wiary Ś-tėj w chwilach, gdy tyłu jej zaniechało, obrońcą był i trzymał się wszystkich jej przepisów; na co książę odrzekł: „Bogu dziękuję za światło, którem mnie oświecić raczył i wiary mej do śmierci trzymać się będę.” (d. c. n.)

A. z Ch. Borkowska.

Łamigłówka głoskowa.

Z pięciu głosek się składam,
Brzeg i wodę posiadam;
Zmienicie pierwszą, gdy chcecie,
Pisać na mnie możecie;
Zmienicie jeszcze raz drugi,
Jam na wasze usługi;
Umiem szybko się krzątać,
I gotować i sprzątać.

Jaskółka.

Zagadnienie naukowe.

Znaleść cztery podobieństwa i cztery różnice pomiędzy kamykiem i garnkiem glinianym.

Rozwiązania do N-ru 5-go.

Łamigłówki kryształowej:

J
S A N
W I C E K
W A C H O C K
J A C H O W I C Z
T R A W N I K
Ś L I W A
A C Z
Z

Zagadki (homonim):

Ren, rzeka i ren, czyli renifer, zwierzę.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Guciovi N. w Kamionce. — Liścik z rozwiązaniem łamigłówki ucieszył nas szczególnie śliczną kaligrafią.

Janince R. — Nigdy nas nie znudzą liściki naszych kochanych czytelników, którzy tak doskonale łamigłówki odgadują.

Stasiowi P. w Petersburgu. — Wszyscy nam odgadują zagadki, musimy coraz trudniejsze wymyślać.

Brońci i Tolci K. — To prawdziwa niespodzianka! sądziliśmy, że już przynajmniej kryształowej łamigłówki nikt nie odgadnie, a tu naraz z dwóch stron nadchodzi rozwiązanie, bo odgadł ją także jakiś dowcipny Bobuś w Niedzielę rano.

Natałka P., Zolka K., Józio S., odgadli zagadkę homonim.

Jan W. uczeń z Kowna, nadesłał rozwiązanie łamigłówki w kwadraciku, którą odgadła także Rozalka W.

Pannu K. nauczycielowi w Stawiszynie. — Serdecznie dziękujemy za współczucie; nie omisszamy też użytkować przesłanego przez pana materiału.